

Kazimierz Tyniów

Gliwice

ROK 1939 WE LWOWIE₁

HARCERSTWO

Rocznik naukowy Muzeum Harcerstwa
nr 6/7, 2023/2024, s. 191-194

Moje ostatnie szkolne wakacje spędziłem w Łabaczu k. Kątów (50 km od Lwowa), w nadleśniczówce u mojego wuja, Ludwika Ościśławskiego, kapitana WP w stanie spoczynku. Wcześniej, od czerwca, przygotowywałem swego kuzyna Ryszarda do egzaminu wstępnego do Rolniczego Liceum Krzemienieckiego. Po zakwalifikowaniu go do tej szkoły spędziłem najwspanialsze bodaj wakacje w moim życiu. Bory, lasy, łąki, rzeki i jeziora, wokół modrzewiowego dworku sad i pasieka, a wreszcie wypadki piesze, konne i bryczką w towarzystwie mego piętnastoletniego kuzyna, a czasem także wuja - zapalonego myśliwego - byłem w żywiole czysto harcerskim.

25 VIII 1939 r. otrzymałem od druha Stanisława Jaworowicza, naszego drużynowego, telegram o treści: *Natychmiast zameldować się w Dowództwie OPL Ośrodka Lwów przy ul. Wałowej 16.* Przyjechałem i zameldowałem się. Otrzymałem przydział i chwilowo zwolniony wróciłem do Łabacza, by zwinąć manatki i pożegnać się z rodziną. Okazało się, że było to pożegnanie na zawsze. Rodzina składająca się z wuja ciotki, babci i czworga dzieci, została wywieziona zaraz pierwszym transportem w lutym 1940 r. na Sybir; wuj z syna-

mi na jeden, a ciotka z matką i córkami na drugi koniec tego nieżyczliwego dla nas kraju. Nigdy ich już nie zobaczyłem. Część zmarła z zimna i głodu, część zaginęła.

Następny telegram wzywający mnie do stawienia się do służby w Dowództwie OPL otrzymałem 29 sierpnia. 30 VIII 1939 r. przydzielono mnie do służby łączności przy Komendzie Garnizonu, w Dowództwie OPL Ośrodka Lwów, którego komendantem był ppłk Chodźko-Zajko, a moim bezpośrednim przełożonym - kpt. Nemeč. Komendantem OPL był kpt. Bereźnicki. Podobnie jak kilkunastu innych harcerzy z naszej 2 Lwowskiej Drużyny Harcerzy Łączności im. R. Traugutta, m.in. Leszek Bereźnicki, Janek Bielawski, Marian Chomin, Roman Cwak, Zbyszek Malinowski, Leszek Nawojski, Władysław Prokopek, Jurek Radwan-Wiatrowski i Kazimierz Szulc, zostałem początkowo zatrudniony jako telefonista i łącznik pomiędzy poszczególnymi posterunkami i punktami obserwacyjnymi, dowodzenia i obronnymi OPL w rejonie Lwowa na pełnym żołdzie wojskowym. Zapamiętałem, że żołd ten został nam wypłacony ok. 15 września papierowymi dwuzłotówkami, które pierwszy raz zobaczyłem w obiegu.

1. Tekst znajdujący się w archiwum Komisji Historycznej Krakowskiej Chorągwi ZHP, był przeznaczony do publikacji w książce Wspomnienia harcerzy-uczestników obrony Lwowa we wrześniu 1939 roku, [wybór, wstęp i oprac.] J. Wojtycza, Kraków 2002, ale nie został tam zamieszczony

Należy tu wspomnieć, że nasza drużyna od ponad dwóch lat przed wybuchem wojny była szkolona w specjalności telegraficzno-łącznościowej w 40 pułku piechoty, którego dowódcą był płk Liebich, a naszym instruktorem - sierż. Muszyński. Sprawdzianem poziomu wyszkolenia był nasz udział w kilku manewrach wojskowych. Uczestnicząc w nich, nie spodziewaliśmy się, że w tak niedługim czasie będziemy zdawać egzamin z naszych umiejętności w warunkach wojennych. Niezależnie od przygotowania łącznościowego niektórzy z nas posiadali także przeszkolenie krótkofalarskie. Mieliliśmy własną stację o znaku SP 1 BP – jedną z najsilniejszych amatorskich obok stacji Korpusu Kadetów. Twórcami naszej stacji byli druhowie: Stanisław Dudryk, Marian Kędzierski, Zdzisław Morawicki, Stanisław Załuski i inni.

W ten sposób moja służba harcerska przy dowództwie wojskowym rozpoczęła się już w przeddzień wybuchu II wojny światowej. Ponieważ służba była „nienormowana”, a nas, harcerzy, nie było zbyt wielu, więc do domu zaglądałem rzadko. Sypialiśmy gdzie popadło: na krzesłach, na podłodze, a tylko od czasu do czasu na łóżku polowym – cały czas w pogotowiu. Służbę pełniłem w centrali, przy telefonii, na rowerze, motorze lub poruszając się pieszo pomiędzy punktami naszej obrony. Byliśmy wyposażeni w specjalne przepustki, upoważniające do poruszania się po terenie, nawet przez barykady. Kule niejednokrotnie świsnęły nam koło uszu, nie wspominając o bombach lotniczych. Od pierwszych dni wojny strzelali do nas dywersanci niemieccy i nacjonałiści ukraińscy.

Mój „chrzest bojowy” przeżyłem 4 września, kiedy szedłem z kpt. Nemeccem ulicą Nabiela w kierunku Politechniki. Zostaliśmy wówczas ostrzelani ze strychu jednej z kamienic. Mój dowódca został tylko draśnięty w rękę, a mnie nic się nie stało. Odczuwałem niedosyt wrażeń wojennych. Przecież nasza dumna, bohaterska i patriotyczna tradycja „Orląt Lwowskich” oznaczała gotowość bezwzględnej oporu i obrony tego, co najdroższe dla każdego Polaka – Ojczyzny i naszego Drogiego Miasta. Marzyłem o udziale w bezpośrednim starciu z najeźdźcą.

Któregoś dnia wraz z żołnierzami konwojowałem kilkunastu dywersantów z Komendy Miasta na Cytadęle, do koszar 19 pułku piechoty. Zostali oni zrzućeni z samolotów i schwytani w okolicy Lasu Biłohorskiego. Nie pozwolono

im za długo powojować, choć nie było pewności, czy wszyscy zostali złapani. W jednym z nich rozpoznałem kolegę ze starszej klasy Państwowej Szkoły Technicznej w Snopkowie. Miał na imię Jasio (wtedy już pewnie Hans), a nazwisko podobne do Weimar. W roku 1938 podczas trwania Targów Wschodnich uczestniczył on wraz z innymi dziećmi kolonistów w przeszkoleniu zorganizowanym przez Niemców, prowadzących tam stoiska handlowe. Nie był to więc odosobniony przypadek. Dywersanci rekrutowali się przeważnie z rodzin niemieckich kolonistów i nacjonalistów ukraińskich, mieszkających we Lwowie i jego okolicach. Posiadali oni znajomość języka i terenu. Kolega-dywersant miał minę raczej smutną. Musiał mnie poznać, gdyż graliśmy razem w reprezentacji szkoły w koszykówce. Co się z nim potem stało, nie wiem.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy mogliśmy wykazać się nabytymi umiejętnościami. Na polecenie Dowództwa Lotniska ppłk Chodźko-Zajko przekazał nam specjalne zadanie. Należało rozwinąć, a następnie obsługiwać przyfrontową linię telefoniczną, łączącą sztab wojskowy pod Lubieniem Wielkim z lotniskiem ewakuowanym ze Skniłowa i stacją kolejową w Lubieniu Wielkim. W związku z tym w środę 6 września wyruszyliśmy w kierunku Lubienia Wielkiego w składzie: Zdzisław Morawicki² „Bračko” – dowódca drużyny, Stanisław Załuski HR „Siasio” – nasz specjalista krótkofalowiec i ja. Jechaliśmy na kilku furmankach wiozących sprzęt łącznościowy, taki jak łącznica, telefony, nosiła z bębniami kablowymi, rososzki, słupy i narzędzia sapersko-łącznościowe. Ze Lwowa wyjechaliśmy późnym popołudniem ulicą Gródecką, jadąc następnie drogą lubieńską przez Zimną Wodę, Basiówkę, Stawczany-Mostki i docierając w końcu do Folwarku Malinówka lub Folwarku Sufraganka.

Dwuprzewodową telefoniczną linię naziemną poprowadziliśmy przez polany i las Dębianka do stacji kolejowej w Lubieniu Wielkim, to jest o 8 km lekko na północny-zachód od centrali zainstalowanej w dowództwie lotniska. Plan początkowo przewidywał pociągnięcie drugiej linii w rejon Gródka Jagiellońskiego, ale nie został zrealizowany, ponieważ Niemcy teren ten już częściowo opanowali. Folwark, w którym było dowództwo, a gdzie także i my stacjonowaliśmy, znajdował się ok. 20 km na południowy zachód od centrum Lwowa. Zamaskowane samoloty, którym za lotnisko słu-

2. Zdzisław Morawicki (1910-ok. 1973), absolwent Politechniki Lwowskiej, drużynowy 2 LDHŁ, żołnierz ZWZ-AK, w 1944 r. aresztowany i zesłany do obozu, wrócił do Polski w 1946 r. i osiedlił się we Wrocławiu, gdzie był m.in. dyrektorem technicznym Wrocławskiej Fabryki Win oraz założycielem i kierownikiem amatorskiego zespołu muzycznego.

żyła względnie równa polana, umieszczono w zagajniku pomiędzy wsiami Mostki i Serdyca, znajdującymi się na wschód od Lubienia Wielkiego. Samolotów, poza dwoma myśliwcami i tzw. towarzyszącymi oraz ćwiczebnymi, było niewiele ponad dwadzieścia. Komendantem lotniska był nieznany mi kapitan, a wśród załogi spotkaliśmy kolegę z drużyny o nazwisku Piotrowski.

Później dowiedziałem się, chyba od kpt. Berezińskiego, że następnego dnia po naszym odjeździe, w dniu 10 września, Lubień Wielki został zbombardowany, część samolotów z powodu braku paliwa spalona, a pozostałymi dowództwo i załoga odleciała do Rumunii. Fakt ten potwierdziła matka jednego z pilotów, której na ulicę Hoffmana dostarczyłem list pożegnalny syna, a u której byłem powtórnie z końcem 1939 roku.

Uzupełniając powyższe informacje, chciałbym opisać kilka epizodów z tego okresu, które utkwily mi w pamięci. W pierwszym dniu naszej pracy, w czasie ciągnięcia linii przez polanę pod Dębianką, zauważyliśmy na niebie samolot, który krążąc, podchodził do lądowania. Widząc to, jak najszybciej opuściliśmy dopiero co postawioną na słupkach linię napowietrzną, aby samolot, lądując, nie uszkodził jej. Z samolotu wysiadł pilot ubrany po cywilnemu. Podeszliśmy do niego bez obawy, mimo że go nie znaliśmy. Chyba wyłącznie intuicji możemy zawdzięczać, że spotkanie zakończyło się szczęśliwie. Przecież pilot mógł nie być Polakiem, a my – harcerzami, a w takim przypadku nasza nieostrożność mogłaby źle się skończyć. Pilotowi pomogliśmy ukryć samolot w zagajniku, a następnie skierowaliśmy go do sztabu. Po tym wszystkim nie było nam, a szczególnie naszemu szefowi „Braćkowi”, wesoło. Wieczorem jednak podziękowano nam za pomoc, zwłaszcza, że w chwilę po ukryciu samolotu nadlecieli lotnicy niemieccy.

O tym, że nasze postępowanie było nierozważne, przekonaliśmy się już następnego dnia. Na drodze zauważyliśmy samotnie wędrującego wygalowanego porucznika z walizką w ręku. Ponieważ wydało nam się to podejrzane, zawiadomiliśmy dowódcę lotniska. No i okazało się, że poruczniczyna był dywersantem niemieckim, doskonale mówiącym po polsku. Bodajże tego samego dnia spotkaliśmy na szosie kilka furmanek załadowanych aktami jakiegoś ewakuowanego urzędu. Jechały pod eskortą starszego podoficera. Pamiętam jego starszą i bardzo zatroskaną twarz. Pytał o drogę do Lwowa. Smutne to było.

Następna przygoda zdarzyła nam się w ostatnim dniu naszej przyfrontowej służby. Znajdowaliśmy się na środku dużej polany, spory kawałek od lasu. Stawialiśmy linię na tyczkach. Było koło południa, słońce, upał. W oddali przelatywały klucze samolotów w kierunku Lwowa. W pewnym momencie pojawił się pojedynczy Stukas lecący na wysokości 100-200 m. Już nieco wcześniej opuściliśmy tyczki z linią, sami zaś położyliśmy się wzdłuż bruzdy polnej i przykryliśmy ziemią saperki, aby nie błyszczały w słońcu. Teraz nastąpił mrozący krew w żyłach moment. Pilot wyraźnie czegoś szukał, samolot przechylał się na boki i widać było rozglądającego się lotnika.

O naszym losie, jak sądziliśmy, zdecydował fakt, że nas jednak nie zauważył. Zrobił kilka okrążeń nad nami i wokół lasu, i odleciał. Może szukał lotniska lub innego obiektu. Mieliśmy dusze na ramieniu. Dodatkowo sprawę komplikowało to, że leżąc twarzą do ziemi, staraliśmy się śledzić jego zachowanie, aby ewentualnie ratować się ucieczką, a nie mogliśmy się specjalnie podnosić, aby nie zdradziły nas odbicia słońca od krzyży harcerskich lub klamer przy pasach. To były pełne napięcia chwile i tylko szczęściu i opiece Najwyższego zawdzięczamy nasze życie, znaleźliśmy bowiem przypadki, że strzelcy pokładowi i sami piloci zabijali ludzi na polach i drogach, strzelając z broni maszynowej, a czasem nawet zrzucając bomby.

W drodze powrotnej miało miejsce jeszcze jedno, przynajmniej dla mnie, istotne zdarzenie. Przejeżdżaliśmy przez jakąś wioskę. Mieliśmy pragnienie, bo upał mimo września był spory. Dowiedzieliśmy się, że czerpanie wody ze studzien jest zabronione, bo woda przypuszczalnie jest zatruta (roboty dywersji – jeszcze jeden haniebny przyczynek do dziejów tej wojny). W tej sytuacji nasz przełożony i autorytet „Braćko” udzielił nam dyspensy w stosunku do dziesiątego punktu prawa harcerskiego, zezwalając nam i sobie również wypić w przydrożnej karczynie po „halbie” piwa. Było to w moim osiemnastoletnim już życiu pierwsze piwo, po którym ugięły mi się nogi. I dlatego tak mi to utkwilo w pamięci.

12 września wróciliśmy do Lwowa, mając niemal za plecami zbliżające się wojska niemieckie. Natychmiast podjąłem ponownie służbę w Komendzie Garnizonu. Nastąpił ostatni znaczący dla mnie rozdział tej wrześniowej tragedii. Zostałem wyznaczony przez kpt. Nemeca do konwojowania broni i amunicji z Hołoska. Spośród harcerzy towarzyszyli mi, o ile mnie pamięć nie myli, Jasio Bielawski, zdjęty z punktu obserwacyjnego na Wysokim Zamku oraz Leszek Nawojski. Jak się okazało,

w tym czasie miała miejsce wielka operacja obronna w nocy z 16 na 17 września. Wtedy pierwszy raz w tej wojnie miałem okazję strzelać z karabinu. Konwój został skierowany na Malechów i Kamionkę Strumiłową, a jego dowódca polecił nam wrócić z meldunkiem i dokumentami do Komendy Garnizonu. Wróciliśmy 17 września wieczorem. Później dowiedzieliśmy się, że Niemcy w tych dwóch dniach 16 i 17 września ponieśli poważne straty w ludziach i sprzęcie. Broń i amunicja, którą konwojowaliśmy, prawdopodobnie wpadła później w łapy naszych „oswobodzicieli” – armii sowieckiej, a oficerowie i żołnierze dostali się do niewoli, jeśli od razu nie zginęli. Na posterunku w Komendzie Garnizonu zostałem z Kazikiem Szulcem do 22 września. W tym dniu dowódca Okręgu Korpusu gen. Władysław Langner podpisał kapitulację. Z budynku wyszliśmy z Kazikiem jako ostatni. Bramę za nami zamknął własnoręcznie ppłk Chodźko-Zajko, ostatni komendant tej placówki. Jak się potem okazało, wraz z kpt. Nemeccem odebrali sobie życie.

Kiedy wyszliśmy z Komendy, byliśmy obładowani bronią krótką i granatami, a w tym momencie po drugiej stronie ulicy ukazał się patrol skośnookich żołdatów Armii Czerwonej z karabinami w pozycji poziomej, gotowymi do ataku i z odbezpieczonymi granatami bojowymi. Stwierdziliśmy, że nas zauważyli, ale jednomyślnie i bez wahania ruszyliśmy śmiałym krokiem w ich kierunku. I chyba właśnie dzięki temu uniknęliśmy konfrontacji z nimi. Nie ma to jak młodość i brawura! Mimo wszystko po przejściu przez plac Halicki, na którym z daleka zobaczyliśmy stos składanej broni, zrobiło nam się ciepło. Ale to przeszło szybko, animusz i odwaga powróciły, czego dowodem był fakt, że mój towarzysz odważył się z tego stosu broni zabrać „FN-kę” z amunicją i to tuż pod bokiem cywila z czerwoną opaską uzbrojonego w karabin.

Oceniliśmy, że facet ten, który zachowaniem i spojrzeniem podkreślał swoją „wreszcie” zdobytą wolność i władzę, przed niewielu dopiero godzinami musiał obciąć sobie pejsy. Tego typu osobników kręciły się w tym dniu całe setki. Jedni poza bronią, którą byli czasem obwieszani jak choinka, mieli w klapach czerwone kokardy, a inni żółto-niebieskie. Ale ci ostatni za długo z nimi nie paradowali, gdyż szybko musieli je zmienić na jednolite czerwone. Dopiero po zmianie pierwszego okupanta na drugiego, w 1941 r., ponownie je wyjęli i przyczepili wraz odznakami z „tryzubem”. Tylko niewielka część społeczeństwa reprezentująca tzw. mniejszości narodowe poszła na lep okupantów, którzy „dobrze” się jej

odpłacili. Wystarczy wspomnieć, że ani Żydzi ani Ukraińcy nie osiągnęli w ten sposób swoich celów.

Przez parę dni, dopóki władze bolszewickie nie usadowiły się wygodnie, mieliśmy sporo roboty z ukrywaniem broni i amunicji, począwszy od broni krótkiej, noszonej w torbach i plecakach, poprzez karabiny jednostrzałowe i maszynowe aż do dwóch cekaemów. Część tej broni nie była jeszcze w ogóle używana, znajdowała się bowiem zakonserwowana w skrzyniach. Po całych dniach i nocach buszowaliśmy w różnych ogrodach i piwnicach, konstruując skrytki i chowając uratowane skarby, których część później się przydała. Ja miałem ułatwione zadanie, bo mieszkając obok Cytadeli, znałem dobrze teren znajdujących się tuż obok koszar. Potem usunęliśmy z naszej izby harcerskiej cały nasz majątek: dokumentację, bibliotekę, sprzęt łącznościowy, radiowy i obozowy – efekt wieloletnich zabiegów.

Rozpoczęła się gehenna okupacyjna. Nie zrezygnowaliśmy z walki, a co najmniej z oporu. Po dojściu do jakiejś takiej równowagi psychicznej, zaczęliśmy jeszcze w tym samym roku pracować w grupach o różnych specjalnościach. Oczywiście domeną naszego oddziału pozostały łączność i radio. Do walki podziemnej i „naziemnej” włączyli się obok harcerki i harcerzy także wcześniej nie zrzeszeni oraz uchodźcy z północy i zachodu Polski. W ramach walki „naziemnej” staraliśmy się okazywać swoje postawy, odrębność i uczucia m.in. poprzez ubiór. Wiele osób zarówno młodych jak i starszych paradowało ostentacyjnie w mundurach wojskowych. Do tych osób należałem i ja, czego dowodem zdjęcie w moim przechowanym do dziś paszporcie, na którym jestem w polskim mundurze wojskowym, posiadającym oryginalne guziki z orzełkiem.

Rok 1939 dobiegał końca. Aresztowania i zbrodnie ominęły na szczęście naszą grupę i naszych najbliższych. Z frontu wracali harcerze, którzy uczestniczyli w walkach i którym udało się uniknąć niewoli lub z niej uciec. Wracali też z tułaczki inni. Dochodziły do nas informacje o tych, którzy polegli i zaginęli. W ten sposób zaczęły się ciężkie lata okupacji.